

BIURO WYDAŃ WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY CZESKIEJ

Dublet
32110

MIESIĘCZNIK
LITERAC

Nr 1-

Kamena

CHEŁM
LUBLIN
ROK IX

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO-TRZECIEGO

		Str.
	* * *	1
WIKTOR DYK	Szczurołap	2
KAROL CZAPEK	W dłoni boskiej	5
JERZY WOLKER	Mirogoj	6
KAROL TOMAN	Wrzesień	7
JÓZEF HORA	Wspomnienie	8
FRANIA SZRAMEK	Wrzos	9
FRANCISZEK HALAS	Jesień	9
	Drzewa w listopadzie	10
	Nic więcej	10
	Nielknięci rdzą	11
	W obozach	11
WŁODZIMIERZ HOLAN	Wełtawa w roku 1946	12
WITESŁAW NEZVAL	Edison	12
	Żegnaj i chusteczka	15
JAROSŁAW SEIFERT	* * *	16
WILHELM ZAVADA	Matka	17
JERZY WOLKER	Najwyższa ofiara	19
JERZY WEIL	Brązowa i biała	23
FRANCISZEK NECHVATAL	Sekunda	26
OLGA SCHEINPFLUGOVA	Aż będzie kiedyś pokój	27
FRANCISZEK HRUBIN	Wśród wybuchów	28
JAN PILARZ	Spotkanie w Warszawie	29
JÓZEF STRNADEL	Salwy honorowe	30
JIRZYNA HAUKOVA	Spotkanie	33
	Rozstanie	34
IVO FLEISCHMANN	* * *	34
MIŁOSZ VACZIK	W trzech barwach	35
FRANCISZEK HALAS	O polską-czeską współpracę kulturalną	36
	Noty bio-bibliograficzne	37
	Polonica czeskie	40

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chelm Lub., Reformacka 43.
 Wydawnictwo: Zespół „Kameny”. Administracja: Lublin, ul. Bronowicka 14 m. 4. Redakcja i Administracja w lipcu i sierpniu nie czynne
 Prenumerata roczna (rocznik IX) 200 zł. Przyjmuje administracja.

K A M E N A

MIESIĘCZNIK LITERACKI

Rok IX (XV)

luty — kwiecień 1948 r. Nr 1—3 (75—77)

* *
*

Układałem ten zeszyt „Kameny“ projektowany jeszcze przed wybuchem wojny (na wzór wydanego w r. 1937 numeru słowackiego), a dopiero obecnie przyoblekający kształty realne w warunkach specjalnych. Świeżo jeszcze miałem w pamięci piękne doznania z miesięcznego pobytu w Pradze i Brnie, w oczach jeszcze odbijały się postacie żywych ludzi, których wiersze tłumaczyłem już dawno, nie znając ich twórców, w uszach dźwięczały strzępy długo w noc nieraz prowadzonych rozmów o życiu, poezji i Słowiańszczyźnie. Urok i prawda utworów, których wartość odczuwałem już przedtem, odstąpiły mi się w całej pełni dopiero po bezpośrednim zetknięciu się z wąskimi uliczkami Małej Strony z majestatem kościołów hradeckich, z wieczorną urodą Wełtawy migocącej setkami świateł złowionych w jej nurty. Nowej barwy nabrały teraz dla mnie wiersze Halasa, Nezvala, Seiferta czy Zavady, których motywem tak często jest przepiękna Praga zarówno w dzisiejszym rytmie milionowego miasta, jak i w swej bogatej przeszłości. Rozumiem teraz, czemu nezvalowy poemat o Edisonie ma tyle rekwizytów praskich, czemu Seifert szedł drogą ku Opyszy (nie będącej już teraz dla mnie pustym dźwiękiem) z cieniem Vrchlickiego, który „palec miał splamiony nikotyną“.

Niezwykła serdeczność i gościnność, z jaką spotykali mnie koledzy czescy, żenowała mnie często. Przyjmowałem je jako wyraz uczuć skierowanych pod adresem narodu, który reprezentowałem, a nie bezpośrednio swoim, zbyt mało bowiem dotąd dla zbliżenia kulturalnego polsko-czechosłowackiego zdołałem uczynić. Tym numerem „Kameny“ poświęconym moim przyjaciołom praskim i brneńskim pragnę choć w części wyrazić wdzięczność za niezapomniane chwile, które spędziłem w ich gronie.

K. A. J.

SZCZUROŁAP

(rozdział I)

„A jak się nazywacie?”

„Nie nazywam się wcale; jestem nikim. Jestem gorzej niż nikim, jestem szczurołapem”.

Mężczyzna, który tak mówił, stał z wyprostowaną głową u wrót domu, przed którymi w mroku bieląca postać kobieca. Patrzył na nią badawczo swymi ciemnymi oczami. Był wysoki i smukły, jeszcze smuklejszy w swym obcisłym atlasowym kaptanie i wąskich spodniach. Ręce miał małe i delikatne jak ręce wytwornej kobiety. Nie miał przy sobie ani broni, ani laski, ale wyglądało, że przybywa z daleka, po drogach, które nie zawsze były pewne. Trzymał za to coś długiego i ozdobnego, co budziło ciekawość kobiety, z którą rozmawiał. Była to puszczalka cudzoziemskiej roboty, jakiej dotąd nie widziała.

„Szczurołapem”, roześmiała się kobieta w drzwiach. „Przybywacie do Hammeln w samą porę. Nie ma tu szczurołapa: za to szczurów jest wiele. Wytlumaczcie mi, szczurołapie, skąd się biorą szczury? Mówią, że dawniej ich nie było. Co prawda”, skończyła z uśmiechem, „starzy ludzie uważają, że świat jest coraz gorszy”.

Szczurołap wzruszył ramionami.

„Skąd się biorą, nie wiem. Są jednak w każdym waszym domu. Gryzą bez ustanku, gryzą na dole, w piwnicach, gryzą tam, gdzie ich nie widzimy. Stają się jednak bardziej natrętne i przedostają się potem wyżej. Przygotowuje waćpani przyjęcie, wesele, chrzciny, czy ja wiem. Proszę sobie wyobrazić, że nagle w czasie uczty zjawiają się szczury z długimi uszami i długimi wąsami. Taki widok psuje apetyt, waćpani przecież rozumie”.

„Tak”, śmiała się kobieta w drzwiach. „W czasie wesela Katarzyny ukazał się porządny szczur. Pan młody był błądy jak ściana, a Katarzyna zemdłała. Ludzie najbardziej nie znoszą tego, co im psuje apetyt. Postanawiają wtedy wezwać szczurołapa”.

„Przygotowuje waćpani wesele czy chrzciny?” — spytał nagle bez przejścia szczurołap.

Kobieta w drzwiach roześmiała się głośno.

„Jesteście cudzoziemcem, widać, że jesteście cudzoziemcem. Nie jestem zamężna, szczurołapie”. Szczurołap uklonił się.

„Nic nie szkodzi.. nic nie szkodzi. A więc wzywają szczurołapa. Szczurołap piszczy i piszczy, aż wyprowadzi całą zgraję z jej kryjówek. Idzie za nim jak oczarowana. Zaprowadzi ją do rzeki, do Renu, Dunaju, Haweli, Wezery. A dom jest wolny od szczurów”.

Szczurołap uklonił się znowu, a głos jego zadrażał jakoś elegijnie. Kobieta milczała bawiać się gałązką jaśminu.

„A gdy się tak stanie, nie pomyśli nikt o szczurołapie. Szczurołap, cudzoziemko, to mężczyzna, który nie zostaje, ale idzie. Ludzie widzą go chętnie, kiedy przybywa. Ale gdy odchodzi, widzą to jeszcze chętniej”.

„Naprawdę?” rzekła tylko. Brzmiało to jak zachęta, a może i zachętą nie było. Ale szczurołap to tak rozumiał. Błede jego policzki nabrały kolorów; mogłaby to zauważyć, gdyby nie było ciemno.

„Czuję to, cudzoziemko. Ludzie nie lubią szczurołapa. Boją się go tylko”.

Dziewczyna roześmiała się znowu.

„A czemu to, szczurołapie, szczury idą tak ślepo za wami?”

„Jest taki szczególny instrument”, powiedział.

Spojrzała z ciekawością na mówiącego i piszczałkę. Dotknęła jej lekko.

„Piszczałka”, rzekła potem pogardliwie. „Piękna piszczałka. Ale nic poza tym”.

„Szczury mają dobry słuch, a moja piszczałka dobry głos.

Oczy szczurołapa zapłonęły dziwnym ogniem. Dziewczyna w drzwiach cofnęła się mimo woli. Gałązka jaśminu zdrząła w jej ręce.

„Mam szczególną zdolność do wypędzania szczurów”, ciągnął szczurołap. Piszczę im czasem bardzo smutne pieśni, pieśni wszystkich krajów, które przeszedłem. A przeszedłem przez wiele krain, słonecznych i ponurych, równinnych i górzystych. Moja piszczałka brzmi tak cicho. Szczury słyszą i idą. Nie ma takiego szczurołapa jak ja. Powiem ci coś, cudzoziemko, która się umiesz śmiać tak dźwięcznie. Nigdy nie piszczałem pełnym tchem; był to zawsze dźwięk stłumiony. Gdybym zagrał pełną pierśią, nie tylko szczury poszłyby za mną”.

Szczurołap skończył. Oczy zgasły i mimo woli zwiesił ręce z piszczałką.

„Nie mam odwagi”, dodał po chwili. „Stałoby się coś strasznego”.

Dziewczyna stała w milczeniu i nie spuszczała oczu z piszczałki i szczurołapa. Gdy szczurołap milczał, rzekła cichuteńko:

„Podobacie mi się, szczurołapie. Zanim zapadł zmrok, widziałam w waszych czarnych włosach srebrne nici. Zanim przemówiliście, spostrzegłam na waszym czole zmarszczki. Ale przez to mi się podobacie. Kochało was z pewnością wiele kobiet”.

„Może”, odpowiedział szczurołap. „Nie pamiętam”.

Słowa szczurołapa miały dziwną i pociągającą intonację. Dziewczyna spoważniała. Schyliła się nad szczurołapem, tak, że czuł niemal jej gorący oddech.

„Podobacie mi się, szczurołapie”, szepnęła. „Ale na waszym miejscu zagrałabym na piszczałce pełną pierśią — z całej siły —”.

„Wie waćpanna, co by to 'znaczyło?'” spytał szczurołap ciemnym głosem. „Ja tego nie wiem. Wiem tylko, że czasami ogarnia mnie strach. Patrzę na swą piszczałkę jak na coś, co zgubiło wielu i co wielu jeszcze zgubi. A potem się roześmieję. Przecież to właściwie nic innego jak tylko piękna piszczałka, waćpanna sama tak rzekła. A ja jestem tylko szczurołapem, który ma odciągać nieproszonych gości. Szczurołapem, który jak Ahaswer idzie z miasta do miasta, z południa na północ, z zachodu na wschód. I jak Ahaswer nie mam postoju. Zabawiłem tu już nazbyt długo, cudzoziemko”.

„Nie”, powiedziała. A potem szepnęła cicho: „Mówcie mi Agnes”.

„Agnes” — rzekł. Mówił miękko i melodyjnie. W ustach jego wszystko nabierało czaru. Patrzała nań z napięciem.

„Odejdziecie prędko z Hammeln?”

„Nie wiem”, rzekł. „To nie ode mnie zależy. Ale — —?”
Odpowiedział spojrzaniem.

Roześmiała się świeżym i czystym śmiechem radosnej młodości. Brzmiało to jak dzwony zmartwychwstania.

„Myślę, że macie tu co robić; tyle jest tu szczurów”.

I dodała poważniej:

„Ostańcie, **szczurołapie**”.

Nie odpowiedział. Wzrok ich spotkał się. Patrzała niespokojnie i pytająco w płonące oczy szczurołapa. Gałązka jaśminu drżała w jej ręce.

„Mam kochanka”, powiedziała.

Szczurołap wziął ją za rękę.

„Nie chcę go widzieć. Nie chcę o nim słyszeć. Wiem, że na świecie jest wiele szkaradnych rzeczy. Co mnie to obchodzi, jeśli nie stanie na mej drodze. Nie chcę go widzieć. Ale gdybym go zobaczył”...

Głos szczurołapa stał się smutny i ponury. Brzmiało to poważnie i ostrzegawczo jak uderzenie w dzwony.

„Nie”, szepnęła. Ale nie było pewne, co oznaczało to nie. Znaleźli się gdzieś na stromym zboczu, gdzie nie czyni się kroków, gdzie pozostaje tylko lot. Trzymał jej rękę w swojej, a ona mu nie broniła. Scisnął. Scisnął ją gwałtownie i namiętnie, że omal nie krzyknęła z bólu. Powtórzyła mimo to uścisk. Ten ból ją omamiał.

„Agnes — —” powiedział.

Brzmiało to jak pytanie i jak prośba.

Spojrzała na niego i roześmiała się.

„Tak”, rzekła. I jasne było, co oznacza to tak. Było zupełnie nagie, bez nieśmiałości i zastrzeżeń. I dziewczyna w drzwiach podała szczurołapowi gałązkę jaśminu.

WIKTOR DYK

Zawsze się mówi: Gdy gdzieś jedziecie, nauczcie się tamecznego języka, abyście lepiej przeniknęli duszę ludu. Nuże, w takim razie przenikniecie duszę ludu mniej więcej tak, jak gdybyście jechali do Nowego Bidżowa: rozumiecie wszystkie głupstwa, które mówią ludzie, i zadajecie im zbyteczne pytania, na przykład, jak się nazywa ta oto góra, czy ile minut opóźnienia ma ten oto pociąg.

Wędruję po ziemi włoskiej nie obarczony takimi sprawami; moje zdolności i mój czas starczyły jedynie na to, abym się po włosku nauczył liczebników (i to tylko tych niższych), a i ta znajomość mierzi mnie czasem, ponieważ gwałci moje słodkie poddanie się woli boskiej. No, owszem, w hotelach międzynarodowych dogadacie się po francusku; ale są miejsca ciekawsze niż wszystkie hotele świata, a tam już kończy się kosmopolityczny Babel. Tu już nie możesz dopytać się ani dogadać, ani od kogoś chcieć czegoś; tu liczysz tylko na to, że ci ludzie nakarmią cię i napoją, pościelą ci i gdzieś cię dowiozą — jak i dokąd, zaprawdę jest to jedynie w ich mocy, a zgoła nie w twojej, ale powierzasz się im jak stworzenie nieme i bezsilne, niezdolne samo wybierać, bronić się i łać. I oto dają ci jeść i pić, troszczą się o ciebie, ułożą cię; przyjmujesz wtedy wszystko z tysiąckrotnie większą wdzięcznością, niż gdybyś sam to wszystko obszernie i władczo rozkazał.

Wędrujesz z prostotą świętego Franciszka. Ponieważ nie umiesz mówić, nie możesz nic od ludzi żądać. Tak, chcieć jak najmniej to właśnie ta prawdziwa pokora i przywiązanie do życia; nie żądać więcej ponad kąsek i łożo, przyjmować wszystko, jak ci to dają, i ufać, że wszyscy o tobie dobrze myślą, to właśnie ta skromna beztroska, która w tobie wywołuje cały szereg cnót. Jesteś skromny i cichy, nie wymagający i ufny, znika gdzieś wszystka twoja buta, nadętość, niecierpliwość, skomplikowana i egoistyczna wybredność; jesteś w mocy innych, a więc w dłoni Bożej. Nie możesz się zapytać, czy ten oto wagon jedzie tylko do Cordare, czy aż do Xirbi, czy też do Biccokki, ponieważ nie wiesz, jakbyś to powiedział; siedzisz więc i polegasz na tym, że „oni” wiedzą to lepiej od ciebie i dowiozą cię do miejsc pięknych i ważnych. Nie wybierasz sobie jadła ani łoża; przyjmujesz, co inni ci dają i oto dają ci to, co mogą najlepszego. Chcesz płacić, a oni zajadą ci cyfrę; nie wiesz, czy mówią ci lira pięćdziesiąt czy pięćdziesiąt lir, więc podasz im wszystkie swoje pieniądze, niech sobie z nich sami wybiorą, co uznają za odpowiednie. Są bardzo uczciwi; wybiorą sobie tylko lirę pięćdziesiąt. Doprawdy, oprócz dorożkarza w Posilipi nikt mnie nie okpił; ale wtedy wokół tego rzezimieszka zgromadzili się ludzie z Bagnoli i oczywiście robili mu wyrzuty widząc, że sam absolutnie nie mogę go wyłajać.

Bywają czasem sytuacje skomplikowane, kiedy na przykład w Salerno człowiek chce dowiedzieć się, czy odjeżdża dziś parostatek. Garson w kawiarni nie mógł sobie z moim pytaniem poradzić; zwołał więc ludzi z ulicy, ludzie wtedy rozsiedli się koło mnie, kazali sobie przynieść caffè nero i rozprawiali, czego mogę chcieć. Powiedziałem im, że chcę do Neapolu; kiwali głowami i naradzali się, a potem doprowadzili mnie wspólnie do pociągu, gdzie musiałem im rozdać na pamiątkę bilety wizytowe. Czasem ujmą się za mną niby za małym chłopcem jak ta babuleńka w Sienie albo mówią do mnie po dziecinnemu za pomocą bezokoliczników i z gorliwymi gestami. Mój stosunek do nich jest nadzwyczaj dobry, nigdy im się nie opieram ani oni mnie.

Wiercie mi: z odrobiną prostoty i cierpliwości człowiek mógłby przejść przez cały świat. W ogóle — z małymi tylko wyjątkami — ludziom można ufać, nic tak nie wzmacnia optymizmu jak to właśnie doświadczenie. Gdybym umiał po włosku, byłbym uboższy o rozkosz tego poznania; byłbym zgoła mniej widział, ponieważ mniej bym błądził i nie znajdował się czasami w miejscach, o których Baedeker nie mówi. Człowiek wejdzie do tramwaju, który jedzie w odwrotnym kierunku; i zamiast w jakimś głupim parku z wspaniałym widokiem znajdzie się w dzielnicy fabrycznej i powłóczy się po niewymownym brudzie takiej Arenelli, zdumiony więcej, niż gdyby podziwiał podzwrotnikową roślinność ogrodów w Palermo. I błądzić, i być niemym i być bezsilnym w dłoni Boskiej to wielka rozkosz i wielka korzyść.

(„Kartki włoskie“)
KAROL CZAPEK

M I R O G O J

Na cmentarzu zagrzebskim, tam na Mirogoju,
z ocz mi łuska opadła południa słodkiego.
Na cmentarzu w Zagrzebiu tysiąc krzyżów stoi
i one dziś jedynie moich wspomnień strzegą,
tych krzyży las drewnianych, tak równych, jednakich,
jak jednaka jest zawsze żołnierska śmierć w boju,
Te spętane w napiąstkach ich ręce zdrewniały
oderwać mnie i unieść daleko zdołały
z podziemną armią razem w cztery świata strony.
Do grobów zlanych wapnem, gdzie napisy zbladły,
a zostały li ciała, które w walce padły,

głęboko, jak najgłębiej przypadłem wzruszony,
a każdy martwy przytulił się do mnie jak głos boleściwy
i każdy martwy usta otwierał:

Powiedz mi, żywy,
za com umierał?

Korzenie w kwiatach mogą słońce pić,
martwy w żywym zrozumie sens swojego gnicia,
można za kraj i króla, za wszystko się bić,
lecz nie za wszystko wolno oddać swoje życie.
O, martwi z Czech i Francji i dalekiej Rosji,
do dłoni mi kładzicie dziedzictwo — swój zgon,
modłę się nad nim, niechaj w mych pięściach się kłosi
chlebem i winem co dzień ku ludzkiej uciezce,
a pytanie to wasze, ciężkie i głośnie jak dzwon,
jak najwyżej na piersiach przy sercu zawieszę,
z rozkazu Boga żywy z żywymi się zbratam,
żywając pytaniem waszym, martwi z frontów świata.

(„Gość w dom“)
JERZY WOLKER

WRZESIEŃ

Mój brat doorał i wyprzegnął konia.
A gdy ściemniało,
głowę druhowi wiernemu do grzywy
przytulił cicho, pogłaskał po szyi
i wsłuchał się, co mówi kraj.

Na Anioł Pański brzmią cichutko dzwony,
modlitwa wiosek stąpa przez zmierzchu zagony.
Duch ziemi śpiewa: smutek, wiara, boleść
w jeden chór zgodny zlały się i lecą
w odwieczne niebo.

Święty Wacławie,
nie daj nam zginać,
nam ni dzieciom naszym.

KAROL TOMAN

W S P O M N I E N I E

Dym barwił tu kwiaty,
huk wstrząsnął niebem,
Zgarbieni z garnuszkami
i czerstwym chlebem
robotnicy się wlekli do pracy.

Nie było kwiatów i gasł wiew gwiazd
nad suchym lasem i nad kurzem miast,
gdy z rozżarzonych pieców żelazo pocięło,
powlekło niebo i dusiło noc.
Mówilem:
piekło.

Rozwiał się dym, niebo w krag się modrzy,
skowronek wrócił i śpiewa.
Cisza jak balsam
na zielen łąk się zlewa
i jak spętany smok
fabryka milczy.

Nad zardzewiałym piecem,
nad ramionami zmartwiałych kominó w
sławią swój wjazd,
gdy zejdzie wieczór
chóry świerszczyków i gromady gwiazd.

I maj, i słodki maj.
Mówię cichutko:
Raj?

JÓZEF HORA

WRZOS

Gdy kwitnie wrzos, już wiemy,
że skrzy się nam w pucharze
ostatnia iskra. Dopijemy,
a poprzez ramię patrzy w twarzę
cień.

Las zniebieszczeje, wieczór siwy
na łąkach ściele mgieł welony:
tu ironiczny i troskliwy
otula płaszczem nam ramiona
cień.

(„Wiersze“)

FRANIA SZRAMEK

JESIEŃ

Jak pieniądz w dłoń wsunięty ślepca
jesteś moja jesieni
jak pieniądz w dłoń wsunięty ślepca
jesteście dni mych cienie

Ty wietrze czysty w mgieł oparach
dymem naci mnie cofasz do dzieciństwa przeżyć
i znowu wracam chciwie do tych kątów starych
by miłość swą powierzyć

ubóstwu ich i ludzkiej nędzy
na zawsze jestem z niemi
tylko tęsknotą swojej przędzy
omotaj mnie jesieni

i spłać mi dni wydartych mękę
metalem liści złotych
i zbaw mnie od wszelkiego lęku
bym miał już lekki oddech

Jak pieniądz w dłoń wsunięty ślepca
jesteś moja jesieni
jak pieniądz w dłoń wsunięty ślepca
jesteście dni mych cienie.

(„Na rozcień“)

FRANCISZEK HALAS

DRZEWA W LISTOPADZIE

Taka to woda
znękana woda woda bez sił
niby ta woda
w której swe ręce Piłat mył

Taka to woda pada

A co byś chciał
po serce zaszępiiony
gdy taka woda szłoła

A ja bym chciał
uśmiechu z łzami smutnej żony
która mnie jeszcze kocha

(„Strojenie“)

FRANCISZEK HALAS

NIC WIĘCEJ

Powtarzam często Życie
a to jest tylko wątek bogiń losu
Przybędzie trochę ci gorączek
zmartwienia pożądania
i więcej nic

Powtarzam często Sen
a to jest tylko węgielek co wypadł
Przybędzie trochę głodu
niedoczekania i zawodów
i więcej ani źdźbła

Powtarzam często Miłość
a to jest tylko miły tlen ciemności
Przybędzie trochę wstydu
pożłoty samotności
i więcej nic

Powtarzam często Śmierć
a to jest tylko stara szklarka
Przybędzie łut nadziei
pożegnanie
i więcej ani źdźbła

Powtarzam wciąż Poezja
a to jest tylko garstka orlich piór
Przybędzie kromka szczęścia
podziwu kornej skruchy
i więcej nic

(„Strojenie“)

FRANCISZEK HALAS

NIETKNIĘCI RDZĄ

Na szczycie czeskim dzień w niemocy
na góry lasy cisza pada
Tronie opieki wierna nocy
pomścij tę zdradę

O ileż krwawsze były liście
jak słońca zachód był siarczany
i dźwięczał metal nienawiścią
gdy broń składano

Nietknięty rdzą się nie ugina
olej ślubowin w stali blasku
a w czarnej ciszy dzień zaczyna
pod tragicznego męża maską.

(„Zarys nadziei“)

FRANCISZEK HALAS

W OBOZACH

W obozach uchodźców
nędzy niełaska
w obozach uchodźców
smutek i chłód

matka strapiona synka głaska
płacze w nim głód

Cóż kobiecie otucha
cóż kobiecie do nędzy
dotknie ręką do brzucha
tak jak było tak będzie

W obozie uchodźców
przybył jeden z wielu
w obozie uchodźców
wieje sztandar z pieluch

ludu co cierpi wieczysta poręka
niech wieje wieje nad tą całą męką.

(„Zarys nadziei“)

FRANCISZEK HALAS

WEŁTAWA W ROKU 1946

Dziecko stoi na brzegu z ciężką torbą pełną opadłych śliwek
i narzeka i płacze, bo nie ma na przeprawę.
Jest wynędzniałe tak strasznie i tak nie dożywione,
że mu wciąż jeszcze nie rosną paznokcie,
a gardłko ma takie, jak gdyby je długo owijał powróż od dzwonu.
Gdyś je na prom zaprowadził, milczy, nieufność się jego nie ugnie,
a teraz, gdy mimo woli rączkę spuściło do prądu,
zatręskni, aby droga tak nie uciekała,
raz i drugi na ciebie tak cierpiąco popatrzy,
czuje się jednym z załogi okrętu — szczęśliwie
i z tego szczęścia nagle się wyrwie:
„Ja byłam w koncentraku...“
Ach, idź i nie kłam — mówią w koło... „Daję słowo!“
Nie, nie kłam!... „Słowo daję! Słowo daję!“
twierdzi niebożę, ale nikt wierzyć mu nie chce.

I przepawisz je od brzegu do brzegu kilkakrotnie
i potem je pożegnasz. Ale dziecko waha się chwilę,
a potem z wdzięcznością i jakby się chciało odmienić,
czymś żarliwie tajemnym i jemu najdroższym
rzeknie: „Panie, my mamy w domu króliczki!“

(„Tobie“)

WŁODZIMIERZ HOLAN

EDISON

(dwie pieśni poematu)

1

Smutne życie nasze smutne niby płacz
z domu gry powracał nocą młody gracz
na monstrancje barów padał śnieg bezgłośnie
w koło dech wilgoci miało się ku wiośnie
noc się kołysała niby bujna preria
pod obstrzałem w górze gwiazdnej artylerii
w którą wsłuchiwali się przy stole
nałogowcy upojeni alkoholem
i kobiety obnażone z pawich piór
i melancholików zawodzący chór

Był w tym ciężar jakiś ból co rwie na ćwierci
smutek żal tęsknota z życia i ze śmierci.

Wtedy szedł do domu poprzez Most Legionów
nucąc sobie arię z „Kornewilskich dzwonów“
pijak nocnych światel lśniących się w Wełtawie
właśnie była północ na Hradczańskiej nawie
północ śmierci gwiazda horyzontu mego
w tej wilgotnej nocy w końcu już lutego

Był w tym ciężar jakiś ból co rwie na ćwierci
smutek żal tęsknota z życia i ze śmierci.

Chyląc się nad mostem zobaczyłem cień
samobójcy cień nad wodą pełną drzeń
był w tym ciężar jakiś ciężar który płacze
był to cień i smutek hazardzisty gracza
rzekłem mu na Boga panie ktoś jest zacz
odparł smutnym głosem nikt ach tylko gracz
był w tym smutek jakiś smutek i milczenie
cień był równoznaczny z szubienicy cieniem
cień co padał z mostu rozległ się mój krzyk
pan nie jesteś graczem! samobójca wstyd!

Szliśmy z dłonią w dłoni obaj ocaleni
szliśmy z dłonią w dłoni obaj jak uśpieni
gdzie za miastem już się rozciągała błon
wachlarz nocy z dala nam owiewał skron
nad kioskami smutku tańca alkoholu
szliśmy z dłonią w dłoni milcząc pełni bólu.

Był w tym ciężar jakiś ból co rwie na ćwierci
smutek żal tęsknota z życia i ze śmierci.

Otworzyłem drzwi swe zapaliłem gaz
a mój cień z ulicy szedł tu ze mną wraz
rzekłem mu o panie proszę do mnie cisza
już nie było przy mnie zienia towarzysza
czy to było widmo czy złudzenie kłam?
ale nad swym łóżkiem stałem teraz sam

Był w tym ciężar jakiś ból co rwie na ćwierci
smutek żal tęsknota z życia i ze śmierci

Wsparłem się przy książkach o stolika brzeg
patrzac poprzez okno na lecący śnieg
śledząc białych płatków niespokojne loty
pogoń za chimera wieczne ich tęsknoty
pijak nieuchwytnych toni i odcieni
pijak zatopionych światel pośród cieni
pijak kobiet których czar i węże pęta

pijak kobiet które grzebią niemowlęta
pijak dziew okrutnych sprawczyń w sercach ran
pijak ust rozkosznych i skrwawionych pian
pijak okrucieństwa które rwie na ćwierci
pijak grozy smutku z życia i ze śmierci.

Rzekłem czas zapomnieć błędne mi ogniki
odtąd będę czytał stare li dzienniki
gdzie w zapachu farby gazetowej tonąc
zobaczyłem wielki portret Edisona
który przy swym nowym wynalazku stał
księdzem mi się wtedy średniowiecznym zdał
bo w tym piękno było które rwie na ćwierci
czyn odwaga radość z życia i ze śmierci.

2

Nasze życie strome jest jak w morzu wrak
Raz wieczorny ekspres kończył już swój szlak
z kanadyjskich borów aż do Michiganu
wawozami których nie znam wcale miana
po nasypie malec drobnym kroczkiem kroczył
z czapką naciśniętą aż na same oczy

i w tym piękno było które rwie na ćwierci
czyn odwaga radość z życia i ze śmierci

Jego ojciec krawiec kupiec drwał i szewc
ziemię miał piwnicę chatę pośród drzew
i niepokój który gna nas w obce włości
umarł na nostalgię i na żal młodości.

Tatko ty wiedziałeś co to wieczny ból
dziś popiołem jesteś jedną z gwiazdnych kul
tatko ty wiedziałeś ludzie źli i mali
pośród krawców szewców czy też pośród drwali
ty poznałeś co to jest włóczęgi pył
chcę jak ty tak umrzeć młodo w pełni sił
bo w tym ciężar jakiś ból co rwie na ćwierci
smutek żal tęsknota z życia i ze śmierci

Nie wiem gdzie twój dół jest i czy masz grobowiec
lecz z twej krwi pozostał mały pogrobowiec
patrz jak ciężar książek umysł jego dźwiga
patrz jak cieszy się że będzie na wyścigach
patrz już czyta ludzi sławnych życiorysy
po encyklopediach wgryza się w episy
patrz jak szybko wyrósł a nie bity w ciemie
patrz już się nie bawi ale czyta chemię.

I dzieciństwo moje także się zaczyna
ja czytałem również wiele ksiąg Darwina
mądrzej się bawiłem niżli rówieśnicy
z kwasem solnym doświadczenia w tajemnicy
z amoniakiem albo też z Runkorfa cewką
czemu jednak byłem rad harfiarzy śpiewkom
czemu bajek były słodkie mi wspominki
po nich ciężar jakiś ból co rwie na ćwierci
smutek żal tęsknota z życia i ze śmierci.

WITESŁAW NEZVAL

ŻEGNAJ I CHUSTECZKA

Żegnaj, a gdybyśmy się spotkać już nie mieli,
to wszystko było piękne, było tego dość.

Żegnaj, a gdybyśmy się spotkać zapragnęli,
być może, że nie przyjdę, przyjdzie inny gość.

To wszystko było piękne, lecz wszystko się kończy,
milcz, dzwoneczku loretański, tę boleść już znam.
Pocałunek, chusteczka i okręt rozłączy,
jeszcze dwa, trzy uśmiechy i zostanie sam.

Żegnaj, a jeśli to jest już ostatnie słówko,
niech zostanie pamiątka, jakiś wspomnień motyw,
powiewny jak chusteczka, prostszy niż pocztówka
i trochę może złudny jak zapach pozłoty.

A jeśli widział więcej, niż inni widzieli,
tym lepiej, jaskółeczko, co szukasz swych strzech:
odkryłaś mi południe, gdzie swe gniazdo ściesz,
twoim losem jest odlot, moim losem — śpiew.

Żegnaj, a jeśli to już wszystko ma oznaczać,
tym gorzej, ma nadziejo, nic ci nie zostanie.
Chcemy się znowu spotkać, więc zostaliśmy raczej.
Cóż, żegnaj i chusteczka. Losie, spełń zadanie.

(„Żegnaj i chusteczka”)

WITESŁAW NEZVAL

Dnia pewnego, nieznanego roku
Ostruhovą szedłem ku Zamkowi,
tam spotkałem męża w haweloku,
cień mu twarz po brodę mrokiem spowił.
Nad dachami małostrońskich dworków
przed oczyma rósł nam Zamku tron,
wszczęliśmy rozmowę — ja i on,
gdy poznałem, żeśmy u pagórka,
skąd opuścił król katedrę starą,
gdzie koroną mu wieńczono skronie, —
błogosławiąc miasto jak Graala czarę,
która krwawi, kiedy zachód płonie.
Rosa drżała na witeczce wina,
a jam poznał go po kapeluszu,
po tkliwości wzroku, lustra duszy,
palec miał splamiony nikotyną.
Miasto, ty, którego nie tknie sławy
chciwie kość gryzący czasu zęb,
któż, jak nie poeta ów wspaniały,
mógłby zajrzeć w twej przyszłości głąb.
Słowo rzeknie — i już pomnik szlocha,
ręką skinie — z śmiechem pójdzie w tan
rozhlukany na murawie Pan
dmąc w piszczałkę swoje pieśni płocze.
Był to czas, gdy liść się jeszcze wzdraga
złotem płacić ptakom za ich pieśni
i gdy świateł lśniących równowaga
miasta w noc sylwetę czarną kreśli.
Ten, co Pradze oddał słów swych tyle,
przez podwórzec Zamku szedł, powoli,
ten, przed którym każdy leżał w pyle;
jednak mnie on wówczas nie zniewolił.
Zapytałem go, czy świadom na zegarze
drogi, czy by chciał mi rzucić myśl,
skąd przychodzą takie mary w darze,
takie mary, jak ta właśnie dziś,

która przy mnie, jak do gwiazd się pnie,
czy się można ukryć gdzieś przed śmiercią.
Lecz poeta głową li pokręcił
i cichutko rzekł mi: nie wiem, nie.
Ale wiem, tych tylko szczęście syci,
którzy są i którzy pragną być,
póki śmierć ich cienia nie pochwyti,
aby ich w ciemności wiecznej skryć.
Ponad życie cenić miłość trzeba,
choćbyś kochał tylko jedną z mar,
bo z miłością zawsze smutku czar,
umieramy, by dać innym chleba.
Szliliśmy drogą, gdzie skazańców wiedli
kiedyś na śmierć, drogą ku Opyszy,
a poeta patrzył na kopułę z miedzi,
zdawał się w zadumie swej nie słyszeć
płaczu ptaków. W dole na tarasie
stał z dziewczyną chłopiec; lekkim skłonem
dzwon się rozkołysał, dzwon za dzwonem,
chłopiec zaś dziewczynę objął w pasie.

(„W światło odziana“)
JAROSŁAW SEIFERT

M A T K A

O mężu — dziecię moje
Syneczku — mój junaku

Kobiety miłością błyszczą
Kobiety miłością pachną
Kobiety miłością bieleją

O serce me czarne
pomarszczone

Dla ciebie jestem okiem
Dla ciebie jestem ręką

Dla ciebie jestem głową
Dla ciebie jestem duszą

Dla mnie już nic nie zostaje

O mężu — dziecię moje
Syneczku — mój junaku
Czułością was zatopię
jak fala kamyk
co zwilgnie a nie zmięknie

Nie wschodzi dla mnie księżyc w niebie
nie pachnie dla mnie głóg na miedzy
nie tęskni dudka mi w dąbrowie

Dom tylko w sercu moim
Dom który wiecznie pusty

O mężu mój
Zasieje siewca
i z pola odchodzi

O synku mój
z gorączki ledwo wychuchany
po co przez ogień z dziećmi skaczesz?

Dla was się kraje otworzą
obłoki daleczynny
jak kwiaty przed pszczołami

Ja do stołu nakrywam
i nad łóżkiem się zginam
i rany umyвам

I po cóż drzazgi z palców
po cóż wam wyciągałam?

Cierń chimery z was wyrwać potrzeba.

(„Wieża zamkowa“)
WILHELM ZAVADA

NAJWYŻSZA OFIARA

(sztuka w jednym akcie)

SCENA TRZECIA

(Komisarz Aleksander Phlips wchodzi z lewej strony.

Wysłużony elegant, kłania się całując rękę i podaje bukiet).

ALEKSANDER Madame, jakież jestem szczęśliwy!

SONIA Pośpieszył się pan.

ALEKSANDER Zawsze się śpieszę. Człowiek, który jest zajęty jak ja potrafi zawsze przyjść na czas.

SONIA (biorąc bukiet): Dziękuję. Pachnie jakoś smutnie. Zimowe kwiaty, prawda?

ALEKSANDER Umyślnie wystarałem się dla pani o nie. Myśle, że pani najlepiej odpowiadają. A poza tym, — lubię kobiety smutne.

SONIA Dlaczego?

ALEKSANDER Aby je móc rozweselić. (Rozgląda się po pokoju).

SONIA To pan już pewno rozweselił wiele kobiet.

ALEKSANDER Niewiele. To się tylko tak mówi. Ale tu u pani miło.

SONIA Całkiem zwyczajnie.

ALEKSANDER Ale z widokiem na cały świat. Ja wprawdzie mam wspaniale urządzone kancelarie, ale okna wychodzą na podwórze więzienne. Widzę przez nie tylko kilka czaszek kryminalnych za kratami. To, żeby trzeźwo myśleć, madame. Ale ilekroć podejść do okna z widokiem, zawsze się coś we mnie budzi. Bóg wie, co by ze mną było, gdybym mieszkał w tym pokoju.

SONIA Niech się pan przeprowadzi! Ma pan dość pieniędzy na mieszkanie z widokiem.

ALEKSANDER Eh, przywykłem. Teraz już się nie da. Tylko by mnie to na próżno niepokoiło. A dokąd, jeśli wolno spytać, prowadzą te drzwi?

SONIA Do sypialni, proszę pana.

ALEKSANDER (śmiejąc się) Ach, wybornie! Bardzo ponętne!

SONIA Czy można pana poczęstować herbatą?

ALEKSANDER Proszę bardzo, — ale niech pani usiądzie koło mnie! (Siada na kanapie).

SONIA Zaofiarowałam panu tylko herbatę!

ALEKSANDER A ja, madame, zakąski do herbaty!

SONIA (grozi mu palcem przyrządzając herbatę na samowarze).

ALEKSANDER Ma pani ładną suknię i ładne rączki. Nie widziałem pani już od wczoraj. A wieczorem przypomniałem sobie Szekspira (deklamuje): „Kto kochając nie kochał od pierwszego spojrzenia“.

SONIA Proszę pana, to chyba nie odnosi się do mnie.

ALEKSANDER (bierze ją za rękę i chce ją posadzić przy sobie): Od pierwszego spojrzenia!

SONIA (wymykając się) Drugie pana odstraszy.

ALEKSANDER Nigdy. Przymknę oczy i ujrzę panią znowu. Biegła pani przez ulicę, dziwne, że nie potrafiła mnie na rogu kawiarni. Była pani zadyszana, wyglądała pani jak człowiek, który się śpieszy i szuka na gwałt wymówki. Najwyraźniej, szeptała pani coś. Tak, — tymi ustami. Pragnąłem być tym jednym słoweczkiem, które pani wymawiała.

SONIA Dlaczego?

ALEKSANDER Aby znaleźć się, kochana, między pani ustami.

SONIA Może dostałby się pan między zęby.

ALEKSANDER Czy chciałaby mnie pani ugryźć?

SONIA I na to trzeba by apetytu.

ALEKSANDER Patrzcie, — to ci dopiero drapieżnik! Jak potrafi ranić! To lubię. Będziemy się gryźć, a co, szelmutko!

SONIA Od kiedy to żołnierze walczą z kobietami?

ALEKSANDER Od stworzenia świata.

SONIA Będzie pan strzelać?

ALEKSANDER (poklepując rewolwer): Tylko w najkonieczniejszej potrzebie.

(ze śmiechem) Cóż to, czy pani jest rewolucjonistką? Jest pani na to raczej zbyt powabna, ale dziś już wszystko możliwe.

SONIA Kiedy się pan śmieje, jest pan wstrętny.

ALEKSANDER Niech się pani na mnie nie gniewa. (Głaszcze ją po ramieniu). Czemu się pani tak zatacza? Nie ugryzę. Nie, nie maleńka! (Głaszcze jej rękę). Ach, tu jest moje miejsce, które tak lubię u kobiet, — tutaj naprzeciw łokcia, gdzie się zgina ręka — takie miłe, takie miękkie, jak gniazdko dla ust. (Całuje ją tam). Tu jest niebieskawa żyłka. Czuję ustami, jak pulsuje. Serce pani tłucze, anielle, prędko, prędko, — dokąd tak śpieszy w odwiedziny? Nie spóźniło się? Nie wymyśli wymówki dla swego spóźnienia? (Chce ją objąć).

SONIA Nie, — niech pan zaczeka! Woda kipi. Niech pan mnie puści!

ALEKSANDER (zgina ją w objęciach i długo całuje w usta): Tak, — teraz pani może iść.

SONIA (idzie bez słowa, blada staje na środku pokoju).

ALEKSANDER Co pani? Pani się gniewa?

SONIA (chwyta się za stół jakby w omdleniu).

ALEKSANDER (przyskakuje do niej): Czy pani niedobrze?

SONIA (pada w jego objęcia).

(Syreny fabryczne)

SONIA (oprzytomniawszy) Syreny fabryczne. Robotnicy wracają z pracy. (Pręży się).

ALEKSANDER Już pani lepiej?

SONIA (uwalniając się z jego objęć) Nic mi nie było. Zaraz przygotuję herbatę.

ALEKSANDER Przecież to niekonieczne.

SONIA A konieczne. (Idzie do samowara).

ALEKSANDER (podchodzi do okna). Na ulicy zapalono światła. Ludzi nie widać. Tylko jakaś czarna masa porusza się w dole. Co to?

SONIA Robotnicy fabryczni i górnicy.

ALEKSANDER To ich tyłu? Nigdy bym nie przypuszczał. Chciałbym ich widzieć z bliska. Są złamani, przygarbieni, poniżeni. Rewolucjoniści! Mrówki! (Uderza pięścią o ramę okienną) Aleśmy ich złamali porządnie.

SONIA (nalewa mu herbaty) Są ich tysiące. Widzę ich co dzień. Przychodzą ze wszystkich ulic, z całego świata. Podobni są do smoka, któremu ucięto głowę. Mówi się, że ich pokonano. W Ameryce, w Niemczech, we Włoszech walczą dotąd. W Rosji zwyciężyli. Kiedy patrzę na nich przez to okno, wydaje mi się, jakby ziemia pod nimi drżała. Nie słyszy pan, panie komisarzu??

ALEKSANDER Słyszę szemranie. To może rozmawiają wspólnie. Nie słyszałem ich nigdy między sobą.

SONIA (podając mu filiżankę i zakąski) Nie wie pan, o co oni walczą?

ALEKSANDER Jest ich za dużo i muszą się dać pobić, aby ich ubyło. Chleba za mało na tej ziemi, mateńko!

SONIA Mówią, że walczą o sprawiedliwość! Co pan o tym sądzi?

ALEKSANDER (pije) Ma pani dobrą herbatę. Gdzie ją pani kupiła?

SONIA Pytałam pana o coś. Dlaczego mi pan nie odpowiedział? Widocznie ma pan powody.

ALEKSANDER Widocznie.

SONIA Strach?

ALEKSANDER (ze złością) Nie, niech pani nie mówi głupstw. Nie myślę o takich rzeczach. Po prostu dlatego, że nie chcę, rozumie pani! (Śmieje się). Najprędzej dlatego, że się nie urodziłem z takim oknem. Okno robi człowieka—Pani okno prowadzi do nieba, a moje na podwórzu kryminalne.

SONIA Mówiono w mieście, że pan na tym podwórzu kazał zastrzelić przedwczoraj pięćdziesięciu rewolucjonistów.

ALEKSANDER Pięćdziesięciu zbrodniarzy i złodziei. Jutro każe zastrzelić następnych pięćdziesięciu.

SONIA Dlaczego?

ALEKSANDER Rozkaz.

SONIA Nie myślał pan nad tym, czy rozkaz jest słuszny?

ALEKSANDER Rozkaz jest zawsze słuszny.

SONIA Rozkaz — ale odkąd jest słuszny? To straszne, proszę pana! Czy pan nigdy nie szedł nocą przez długą ulicę? Są takie wieczory, gdy oczy toną w tym, co widzą. Pałace, latarnie, księżyc, baraki, pijacy i policjanci. Świat jest rozrzucony jak poniechane zabawki! Człowiek ma chęć zebrać to wszystko razem, postawić na nowo i lepiej. Niektóre rzeczy są smutne, ale jeszcze smutniejsze są ich stosunki. Patrzy pan, patrzy — oczy pana przylegają do wszystkich rzeczy świata jak do zamkniętych skrzyni, — a na dnie każdej rzeczy leży rozkaz. Zabija pan chętnie?

ALEKSANDER Nie rozumiem pani. Pyta pani dlatego, że ma obcięte włosy, czy też dała je sobie pani obciąć dlatego, że tak pyta?

SONIA Nie, niech się pan nie złości! Wie pan, — to takie dziwne, gdy na pana popatrzę i myślę sobie, że pan tyłu zabijał. Niech pan pokaże oczy! Są niebieskie jak moje. Niech pan pokaże ręce! Są białe tak jak moje. A to dziwne i straszne. Gdyby pan miał oczy nalane, podsińnię, gdyby pan miał ręce czarne, poskręcane, krwawe, to by tak nie przerażało. (Patrzy na swoje ręce). Ja mam ręce takie słabe!

ALEKSANDER (ściska je i całuje) Dla miłości wystarczą.

SONIA Miłość jest rzeczą najcięższą, mój drogi!

ALEKSANDER Tylko miłość jest rzeczą piękną i powietrzną. Czytałem gdzieś, że wszystko inne, co przeżywamy, jest snem, który się śni o nas jakiemuś potworowi. Miłość jest zachwytem, płonąca chwila. Inaczej wszystko jest świństwem. Najlepiej o tym nie myśleć. Gdy się myśli, gdy się myśli, — ale do dia... (Śpiewa) Kiedy myśle, dziewczę me, o tobie... (Porywa ją na kolana). Tak, teraz cię nie puszczę. Przykryję się tobą, żeby nic nie widzieć. Taka ciepłutka, taka miła! (Całuje ją).

SONIA Nie, nie!

ALEKSANDER Musisz! Do diabła wszystko! Po nas choćby potop!

SONIA (wyrывa mu się)

ALEKSANDER (prędko) Chodź tu! (Uderza o pas z rewolwerem). Rozkazuję ci!

SONIA (patrzy na rewolwer) Rozkaz jest zawsze słuszny. Dobrze, — ale pan ma twarde kolana.

ALEKSANDER Przez rewolwer? Wiesz, dziewczyno, to jest to, co mi zawsze siedzi u kolan, — a dotąd wiernie.

SONIA Bolałoby mnie, gdybym poszła z panem.

ALEKSANDER Dlaczego?

SONIA Jestem zazdrosna.

ALEKSANDER (przyciąga ją znowu).

SONIA (głaszcze go po głowie).

ALEKSANDER (odpina pas z rewolwerem i rzuca do kąta).

SONIA (siada mu na kolanach).

ALEKSANDER (wśród pocałunków) Kochasz mnie?

SONIA Muszę.

ALEKSANDER Jesteś taka miękka, taka ciepła, biała. (Rozpi-
na jej bluzkę).

SONIA Nie, nie, jeszcze nie!

ALEKSANDER Dlaczego „jeszcze nie“?

SONIA Poczekaj chwilę. Powiedz: jesteś szczęśliwy?

ALEKSANDER Jestem szczęśliwy, moja dziewczyno. Chciał-
bym cię gnieść jak ciasto, gryźć, rozerwać. Chciał-
bym cię mieć? Rozumiesz? Tak być musi!

SONIA A więc bądź szczęśliwy, niezmiernie szczęśliwy!

ALEKSANDER Dlaczego to mówisz tak, jakbyśmy się rozłą-
czali?

SONIA Nie, — nic. Możesz mnie wziąć. Tak być musi. A za-
tem bierz jak najwięcej, jak najmocniej, jak na całe ży-
cie. Kocham cię, Aleksandrze. Rozkazuj!

ALEKSANDER (porywa ją na ręce i niesie do sypialni).

JERZY WOLKER

BRĄZOWA I BIAŁA

W białej ciszy gubi się szept kamieni, nogi się kaleczą, zapadają. Ale łapy brązowe, giętkie łapy zjeżdżają po śniegu, są lekkie i zwinne, należą wszak do nich pyski przywykłe rwać ostrymi, białymi zębami ciepłe mięso człowieka. I wilczym krokiem idą pyski po śladach.

Uciekał już dni kilka, a granica była jeszcze daleko, skradał się dokoła samotnych budynków i domków wiejskich, sypiał w stodołach i szopach, nie, nikt nie mógł go widzieć, a jadł; co sobie ukradł — surową rzepę, trochę owsa i zmarzniete ziemniaki.

Nie śmiał i nie mógł nikogo poprosić o nocleg i ciepłą strawę, jak tęsknił za ogniem i ciepłą strawą, drżał z zimna i głodu, ale musiał iść naprzód, a była to droga zająca mylącego swe ślady.

Trzeba było być i zającem i lisem, skradać się po cichu i zapadać się w śnieg, o sen dopominało się wygłodzone ciało, ale naprzód — pulsowały skronie, tam, gdzie jest cisza i pokój, chleb i garnek ciepłej zupy, tam, gdzie jest sen w łóżku i granica.

Gdybyż mógł obrosnąć futrem białym lub brązowym, choćby nawet rudym, gdybyż jego ciężkie nogi mogły się zamienić w łapy lub przynajmniej kopytka — dobrze byłoby stać się zwierzęciem.

Ale był człowiekiem, którego szcuzto, w podartym paletku i namokniętych butach, musiał stąpać tam, gdzie trzeba było skakać, latać i zagrzebywać się do nory.

A wrogość gapiła się nań z każdej strony, gałęzie kłuły mu twarz, śnieg chwycił go do pułapki, ciemność usiłowała go połknąć, a gdzieś z tyłu byli ludzie ze strzelbami i rewolwerami, stacjami nadawczymi i plakatami, na których był przedstawiony z wyznaczeniem nagrody.

Miał być powalony i nagroda wypłacona, krew jego oceniono i zważono, był zwierzyną, na którą się poluje, a przecież nie był i nie mógł być zwierzęciem, choć go szczuto.

Nogi zapadały się w śniegu, głód skręcał mu wnętrzności, żuł suchy liść, który znalazł w śniegu, nie miał smaku ten liść przyniesiony skądś z daleka, może należał do drzewa, które dawało owoce, nie, lepiej by było stać się zwierzęciem, rwać mięso z żywego ciała i pić ciepłą krew.

A przecież za tym samym tęsknią psy. Słyszał ich szczekanie z dala. Biegną po tropie, brązowe łapy lekko zjeżdżają po śniegu, skaczą przez jamy i wykroty, węszą śnieg. Nie zatrzyma ich nic, tylko ciepłe krwawe mięso, mięso człowieka.

Nie mógł się przed nimi ukryć, nie mógł stłumić zapachu swego ciała, które żyło, oddychało i poruszało się, mógłby tylko zmienić się w padlinę, ale i to by wytopiły.

Ale gdzieś przecież musi być rzeka, tylko rzeka może zatrzymać psy, ponieważ w niej stracą trop, tylko nie może być zamrznięta, wtedy przejdą przez lód po jego śladach.

Wtenczas musi ciało, które się będzie opierać, usłuchać rozkazu i skoczyć do lodowatej wody, ręce trzeba rozpostrzeć a nogami się odbić, aby ciało mogło płynąć.

Musi tu być rzeka i nie wolno jej być zamrzniętą, tysiące igieł kłuje w oczy, a oczy od białego śniegu słabną, musi teraz dobrze śledzić oczami, wypatrzeć rzekę. I nie wolno jej być zamrzniętą, nie, z pewnością nie będzie, to rzeka góraska, wartka i drapieżna, walczy z mrozem i nie chce się dać uwięzić.

Będą potem szczeekać psy na stromym brzegu rzeki, woda im zabierze ślady, woda, która wszystko oczyszcza.

Ale nuż go dopadną, zanim znajdzie rzekę, będą mu rwać żywemu mięso, będą się nim sycić i śmiać się będą ludzie ze strzelbami, rewolwerami, stacjami nadawczymi, ponieważ nie będzie już w niczym podobny do człowieka przedstawionego na plakacie z nagrodą.

„Naprzód”, mówiły skronie i ciało z wysiłkiem wlokło się dalej, gdybyż można było zasnąć wcześniej, zanim kły ostre wpiją się w ciało, zasnąć na wieki, stać się padliną, której już nie tkną.

Ci wszyscy tam z tyłu to zwierzęta. W ciepłych futrach i kosmatej sierści śmieją się z mrozu, niech żyje polowanie, któremu towarzyszy bulgotanie butelki, niech grzeje przyjemnie żołądek napelniony mięsem. Ale jemu pozostaje tylko walka o życie.

Rzucić je na wiatr, aby je unosił jak suchy liść, który żyje, aby polatywał jak śnieg, aby nabrał lekkości i lotu — życie to znaczy rzeka.

Dały jej siłę deszcze i śnieg, krzyczą i śpiewają w niej górskie źródła, o, rzeko, jak się zmieniasz z każdą chwilą, dam ci się nieść, wejść do twych mroźnych wód, musisz wytrzymać i walczyć, aby cię nie skuto białymi łańcuchami lodu, niech rozbijają się twe fale o kamienie potoków, walcz do ostatniego tchu, walcz o prąd, nieskończony prąd żywej wody.

I próżno będą czekać psy na twym brzegu, próżno będą gapić się tępo na walącą wodę, próżno będą węszyć w powietrzu, które będzie pełne twej czystości.

Ciebie szukam i do ciebie uciekam się, rzeko, która wszystko dajesz i zabierasz, tobie powierzam swe życie, wypisany na plakacie z nagrodą, dla której mozoła się ludzie i psy.

Wlókł się po śniegu z towarzyszeniem chóru psiej sfory, który brzmiał z oddali, łzawiącymi oczami szukał rzeki. Pulsujące skronie wołały „naprzód”, a ciało walczyło, stękało i skręcało się w kurczach próżnego żołądka.

Dojrzał już pierwszego psa, a może mu się tylko zdawało, była to tylko plama, brązowa plama, ale było w niej życie, poruszała się, rosła, nie mógł to być pień, ponieważ byłby pokryty śniegiem i nie mógłby się poruszać, a więc psy już są blisko, a na pół osłepłe oczy nie widzą jeszcze rzeki.

Nie, nie mógł się oglądać, musiała tu być rzeka, musiała tu być posłana z wysokich gór, musiało jej być dane, aby się wryła do śniegu, rozdarła go świecącą smugą, aby umarłym dawać życie i błogosławieństwo upadającym.

Nie śmiał się obejrzeć, a przecież obejrzał się, gdy szczerzenie się wzmogło, widział już, musiał widzieć w wielkiej odległości, a przecież już tak blisko, jak brązowe łapy ślizgają się po śniegu, jeszcze chwilka i poczuje gorący oddech, a potem wpiją się kły do miękkiego mięsa i będą je rwały, krew zabarwi śnieg, a psy ją będą chleptać, aby ugasić pragnienie.

Wołam cię, rzeko, w ostatniej chwili, przy końcu bez nadziei, zjeżdż, czysta i świecąca, z gór, przetnij drogę błyszczącym ostrzem wody, do ciebie się uciekam i ciebie wzywam.

I oto leżała przed nim rzeka, jak gdyby się właśnie urodziła, jak gdyby wyrwała się z głębi ziemi, huczała i pędziła białą ciemnością śmierci, nie, nie pozwoliła się zamknąć do więzienia lodu, śpiewała i łoskotała, waliła przez kamienie, płynęła dumna i zwycięska nad trupem ciszy i brązowych plam. Rozpostarł ręce i skoczył do niej, dał się jej nieść do przeciwległego brzegu wolności i granicy.

SEKUNDA

Sekundo, stań na chwilę,
ach, cieniu zgasłych kras!
Tyś więzień, który kwili
i pierzcha, pierzcha w nas.

Płoń, słońce, nad zgliszczami,
dmij, wietrze, ciskaj piach!
Orkan ciało me łamie
i podpala w nim strach.

Złodziejko chwil, co pierzchły!
Pęknięty lutni drut.
Całunek, krok pośpieszny...
Rozłaka aż po grób.

Obłoczku kolorowy,
kto znajdzie dróg twych ślad?
Wyleciał ptaszek z głowy
i na gałązce siadł.

Umarły ptaki we mnie,
odpłynął obłok gdzieś.
Kochanek twój, o ziemio,
jak ptak ci śpiewa pieśń.

(„Łoże weselne“)

FRANCISZEK NECHVATAL

AŻ BĘDZIE KIEDYŚ POKÓJ

Aż będzie kiedyś pokój: nad spaloną ziemią
łuk tęczy po żelaznym się deszczu roztoczy
i Bóg mieć będzie wypalone oczy
od gazu trującego albo od kaemu.

Wtedy sępy, hieny, wilki i szakale
zębami każdej ręki puls wypróbowały,
rozniosą wieść radosną poprzez ziemskie dale,
że umarli wreszcie czciewiek, ten zbrodniarz najkrwawszy.

Wtedy kwiaty spalone pędy nowe puszcza
i każdy więcej miejsca dla siebie zdobędzie,
a zczerwieniałe rzeki z ulgą już zapluszczą,
albowiem ich powierzchnia teraz czysta będzie.

I morze się uciszy nad wrakami łodzi
i do brzegów dopłynie bezpiecznie ławica,
na łąki wyjdzie zwierz, gdy modra noc się zrodzi,
spokój, ni śladu myśliwca.

I będzie wreszcie pokój nie witany krzykiem,
tylko wzrokiem ośleplym spojrzy Bóg sędziwy,
ziemię pustą zaleją siwe grabarzyki,
a na ruinach domów zakwitną pokrzywy.

(„Tunel śmierci“)

OLGA SCHEINPFLUGOVA

WŚRÓD WYBUCHÓW

Już wszystko w koło wygorzało,
niepokój wszędzie leży.
Ja śpiewam tak, jak świerszczyk śpiewa
na wypalonej miedzy,
ja wiecznym śpiewem marnym.

Ileż to twarzy odprysnęło
przez ogień infernalny:
pod nimi stary obraz wiary.

Ileż głów wiernych z wiary nędznych
we krwi się swej skapało —
a dzieciom ich już od kolebki
huk bomb się w uszy wlewa.

Śpiewem — tak z grozą miłość śpiewa.

Ze starych katedr gruz się prószy
jak z zgniecionych purchasek,
lecz ileż szumi gwiazd i rzek!

Śpiewam i śpiew mi radość sprawia.

Ach, cóż tam katedr dumnych chwała
przy chwale główki dziecka małej
chusteczką krwi okrytej!

Śpiewam i wstyd mi śpiewać.

A milczeć — cóż dopiero!

FRANCISZEK HRUBIN

SPOTKANIE W WARSZAWIE

To taka ulga pisać o kimś, kogo się rozumie.
Spotkałem się z nim tak samo, jak z tysiącem innych.
Nic nie mówiący uścisk ręki i słowa milczenia,
Szczekały na nas psy w ruinach!
On ich nie widział. Mieszkał aż na siódmym piętrze.
Pokoje miał pełne gwiazd,
Gdy tymczasem na dole z piwnic wychodzili ludzie rozespani
i mieli motyki i łopaty na ramionach.

Pięciodniowy post uwięził mnie w pokoju.
Pięć dni się myślą cofać lub przynajmniej spać.
Pomagał mi podnosić zczerniały strop nad głową,
Gdy przemiły pułkownik mówił ze mną po niemiecku
tylko po to, by poznać mą chorobę.
Chciał, bym zwierzał mu się z bólu w tej niezrozumiałej mowie
Rilkego, Kafki, Trakla.

To taka ulga pisać o kimś, kogo się rozumie.
Chodził do mnie z wszystkimi swoimi trzema żonami
w oczach, palcach, w utykaniu na lewą nogę.
Tak kochał Gałczyńskiego.
Nauczyłem się kochać go od niego.
Jeden wiersz jego o Michale Aniele przybił mi na ścianie.

Trzecia obecna żona patrzyła nań przez ramię
i krzepiła swoimi grzesznymi myślami
rozstrojonego człowieka. Było mi go żal.
Który nam cypel ziemi został?
Z owiżanym karkiem, w ciemnej przestrzeni pokoju
spotykałem się z tylu poetami.
On jeden mówił o życiu, a widziałem go tak znękanego
w bursztynie, który trzaskał mu na gardle.

Złoty pył ruin pada na mą pościel.
Już znowu płynę ku gwieździe siostrze miłosierdzia,
której się tak podoba słodki szczebiot polszczyzny.
Jak mało czasu zostaje, by myśleć o wojnie.
Trzy żony z obnażonymi brzuchami polyskują przed nim
jak stawy. Chcę mu rzec słowo, co ulży.
Odjeżdżam bez pożegnania. Świat jest tak szeroki,
jest gdzie utonąć. Taki ludzki.

JAN PILARZ

SALWY HONOROWE

Siwy ranek, chłodny jak zapadłe gniazdo. Mokry kał nocy i srebrny szron tkwią na ściętej i spleśniałej od mrozu trawie, na rozplakanych dachach oliwkowo zielonych, wystygłych bloków, na drogach z kałużami błota i na czarnych drzewach za murem, które wiszą zziębniętymi wierzchołkami w postrzępionym popielatym firmamencie. Ustało odbębnianie liczb, dobrzmiało szczenięcie komendy. Nad szeroką przestrzenią, cuchnącą z każdego kąta bloków, ze starych pasiaków i ze stojących wychudzonych ciał burakami i brukwią, zgniłymi ziemniakami i biegunką, krążą stada wron.

Jest po apelu, komanda robocze w długich szeregach marszerują ku głównej bramie. Gęsto stłoczone piątki kołyszą się do rytmu marszowego, buty dźwięczą na betonowym bruku. Rzeka nagich czaszek wali się do otwartej bramy. Heftlindzy trzymają zdjęte czapki zakrzepłymi na udach palcami; włożą je dopiero za bramą, gdy miną oficerów esesmańskich. Przed bramą lagerführer rozmawia z kilkoma esesmanami. Ale jeszcze ktoś tu stoi przed bramą. Dziś na apelu wywoływano wiele nazwisk i dlatego są tutaj te dwie gromady, z każdej strony bramy jedna. Na transporty do innych obozów wybiera się zazwyczaj wieczorem, na sąd, przesłuchanie wywołują najczęściej również na apelu wieczornym, ale kogo odczytają rano i wezwą do raportführera, ten idzie zwykle do domu. Temu już jest dobrze, kto tu stoi przed bramą tyłem do obozu, tyłem dlatego, aby już nic nie widział z tego groźnego teatru, aby już nawet spojrzeniem nie mógł pozdrowić przyjaciół ani porozumieć się z nimi, ten już czeka tylko na formalności towarzyszące zwolnieniu, na przebranie się i na najpiękniejszą w swym życiu chwilę, gdy zamknie się za nim brama i cały ten świat średnio-wieczny, gdy się wyrwie z tego potwornego snu na zawsze.

Wychodząc do pracy poza obóz zerkamy w stronę tych szczęśliwców, którzy czekają niechybnie na powrót do domu. Jedna gromada stoi na prawo od bramy tyłem do placu apelowego, a druga na lewo — frontem. Jest to niezwykle, że jedni stoją tak, a drudzy inaczej. Ale nikt na to nie zwraca specjalnej uwagi. Tych na lewo jest dwudziestu trzech, a po czerwonych trójkącikach przyszytych z prawej strony piersi — Czesi je mają z lewej strony i pod numerem — widzimy, że to Polacy. Tych na prawo jest mniej i są różnej narodowości.

Polak, który idzie przy mnie w naszym komando budującym baraki, dostrzegł w lewej gromadce swego kolegę i półgłosem wymawia jego imię, gdy przechodzimy obok: Jasiiek, Jasiiek!

I Jasiiek słyszy, patrzy się, szczerzy zęby, oczy mu świecą radością.

Jaśku, pozdrów w domu moją żonę i chłopców! Nie zapomnij, nie zapomnij!

A Jasiek, choć oczywiście nie może dobrze rozumieć, gdyż szept przebijają uderzenia butów, kiwa głową, mruga, uśmiecha się całą twarzą; zrozumiał, choć nie umówili się razem, przecież nikt z nich nie spodziewał się, że Jasiek pójdzie do domu. Jasiek wie, czego sobie życzy jego kolega i co jest jego radosnym obowiązkiem. Nie, nie zapomni. I w innych oczach widać jasność, którą rozświeciła nieoczekiwana radość nagle, nie do uwierzenia, jak gdyby te oczy już patrzyły półotwartym okienkiem na wolność. I inne twarze porozumiewają się spojrzeniem z kolegami, którzy przechodzą obok szereg za szeregiem, szereg za szeregiem. Łączą się z nimi i w ich spojrzeniu jest obietnica, że spełnią wszystko, że wszystko powiedzą tym, którzy czekają tam daleko w domu, w Warszawie, w Kielcach i Radomiu, w Wilnie.

I już jesteśmy za obozem na szosie, czapki wsunięto na ostrzyżone głowy, poruszamy się wolniejszym tempem wraz z leniwymi postami. I wszyscy pewno myślą o tych przy bramie i o ich radości. Nasz pochód skręca na miejsce pracy do rzadkiego lasu sosnowego pomiędzy stopy kłód, desek, pomiędzy szopy i budy. Posty z karabinami rozciągnęły się długim łańcuchem i już jesteśmy każdy na swoim miejscu. Z siekierami, z piłami, młotami i młotkami. Niebo jest siwe, jego zimne szmaty zwieszają się aż do koron sosnowych, forarabajrzy pokrzykują, deski składane z trzaskiem padają na siebie, gdzieś obok syczy piła, gdzieś indziej pobrzmiwają miarowe uderzenia przy wbijaniu gwoździ. Komando budujące baraki pracuje całą parą.

W naszej ciesielskiej gromadzie brak dziś jednego. Jaśka. Stoi przed bramą frontem do obozu. Aby się jeszcze napatrzeć na wszystko, zanim odejdzie. Tam jest jego piła i siekiera, którą zawsze zabierał. Pozostali Polacy rozmawiają o nim. Chcieliby być na jego miejscu. Być tak blisko wolności, domu. Mój Boże! I ja go widzę, Jaśka, wczoraj jeszcze cieśle, przedtem kiedyś ucznia, widzę go, jak się uśmiecha, jak jest szczęśliwy. Z pewnością już od tej chwili, kiedy tam stoi, ubił już w duchu tę długą drogę stąd na wschód, już z pewnością widzi siebie w domu przed budynkiem pod wysokim jesionem, już widzi wszystkich swych miłych, siostrę, matkę. Już wie, jak się z nimi przywita, co im powie, co zaraz zrobi, gdy się osiedzi w domu, jak sobie to wszystko pięknie uporządkuje. I zdaje mu się, jakby dotychczas to życie przemarnował, jakby mało je cenił, mało kochał. Ale teraz wszystko się zmieni, wszystko. Jakże się cieszę tobą, ojczyzno moja!

Wysokie sosny stoją martwe w posępnym poranku. O pół do dziesiątej przychodzi nagle rozkaz: odmaszerować. Składamy szybko narzędzia i ustawiamy się piątkami. Idziemy z powrotem do obozu.

I oto znowu przechodzimy przez bramę. Otepiali i zdziwieni wkraczamy na plac apelowy. Gromadka z prawej strony odeszła, a lewa — lewa jeszcze tu stoi. Ale co to ma znaczyć?

Przed nimi leżą na ziemi w kupkach zdjęte płaszcze, zrzucone rękawice i czapki. A esesman chodzi przy nich z papierami w ręce i coś w nich zaznacza. I ludzie ci są jacyś przerażeni, są między nimi młodzi i postawni, zgarbieni i wynędzniali, ale najwięcej jest młodych. Już na nas ani spojrzą, oczy ich są dziwne, smutne, ponure, zastygłe.

Wchodzimy w uliczki między blokami i stoimy, do bloku nie wolno nikomu. Jak iskry przeskakują z ust do ust wiadomości, ktoś dojrzał Polaków, jak wchodzili do autobusów, które odjeżdżają gdzieś na miejsce naszej pracy, na holzplatz. A gdy za chwilę w tym samym kierunku odchodzi i gromada sześciu esesmanów z karabinami, wszystko już jest jasne. Zgroza nas zdjęła, coś nam ścisła gardło i patrzymy jeden na drugiego przerażeni. Dlatego więc musieliśmy opuścić to miejsce w pobliżu głośnego holzplatzu. W jego rogu przy płocie stoi słup z rdzawymi plamami krwi.

I już się rozlega pierwsza salwa z sześciu karabinów. Po chwili druga, trzecia, czwarta... Trzask, trzask, trzask...

Ohydny ponury dzień jest ciężki, aż dusi. Groza wiesza się nam na biodrach, setki heftlingów spoglądają niemo w ziemię. Ktoś zaczął liczyć strzały, ale prędko przestał. W miarowych przerwach trzaski znowu i znowu. Która z tych kul należała do Jaśka? Która z nich zakończyła ten straszliwie krótki, zawrotny film życia, jaki mu przemknął przed oczyma niby błyskawica, która z nich złamała tę grozę, w jaką zmieniła się nagle obudzona, buchająca jak płomień radość i nadzieja, która z tych kul spaliła to rozpadnięte gniazdo uskrzydłonych snów?

I zanim przebrzmi ostatnia salwa, już wiemy wszystko. Dziś jest dziewiąty listopada, todesopfertag, doroczny dzień pierwszych poległych bojowników nazizmu w monachijskiej Feldherrnhalle z roku 1923, przeto i dziś się go święci. Święci się mordowaniem niewinnych ludzi: w więzieniach, obozach koncentracyjnych morduje się dzisiaj w imieniu partii, w imieniu świętej sprawy ruchu nazistowskiego.

Już przedtem widziałem martwych, widziałem żalósne obrazy nędzy ludzkiej i ludzkiego okrucieństwa, ale nigdy nie zapomnę tego spojrzenia dwudziestu trzech Polaków, oczu rozszerzonych światłem, rozjaśnionych nadzieją i radością, którą strach przed śmiercią stał tak prędko, jak nagle wykwitła, która odleciała jak nasionka zwiane z główki dmuchawca *).

JÓZEF STRNADEL

*) Tłumacz niniejszego wspomnienia pamięta doskonale ten straszliwy dzień, jedno z najokropniejszych przeżyć z pobytu w Sachsenhausen. Oto co zapisał przed trzema laty w swych „Wspomnieniach z Oranienburga“:

...., Około południa usłyszeliśmy nagle strzał. (Dodać należy, że blok nasz znajdował się na peryferiach obozu w pobliżu muru, za którym rozciągały się tereny sąsiadujące z „Holzhofem“). Początkowo nie zwró-

S P O T K A N I E

Nie szukam innej ziemi,
Szukam tylko człowieka,
Gdzieś. Na dworcu ogromnym.
Aby na mnie zawołał.

Nie szukam innej ziemi.
Szukam tylko człowieka,
o którym już myślałam,
że nie spotkam go nigdy.

Nie szukam innej ziemi.
Szukam tylko człowieka.
Nie sądził, że mnie spotka,
a jednak długo czekał.

Nie szukam innej ziemi.
Szukam tylko człowieka,
którego spotkać pragnę.
A dość ich znam na świecie.

(„Cudzy pokój“)

JIRZYNA HAUKOVA

ciliśmy na to uwagi. Za chwilę jednak rozległ się strzał powtórnie, potem trzeci. Spojrzeliśmy po sobie gubiąc się w domysłach i nie chcąc przytaknąć nasuwającej się straszliwie odpowiedzi. Czwarty, piąty. W tym momencie przykuśtykał do izby Maks, blade na twarzy i niezwykle poważny. Ktoś z młodszych zadał mu bezsensowne pytanie, kiedy będzie obiad. — „Mensch!“ — wrzasnął na niego: „verstehst du nichts? — De erschiebst man deine Kameraden!“ —

Groza ścisnęła nam gardła. A suche trzaski powtarzały się w odstępach raz po raz. Szósty, siódmy, ósmy. Pomyśleć tylko: każdemu z tych okropnych odgłosów towarzyszy bezładne osunięcie się ciała na ziemię. Dziewiąty, dziesiąty. Ach, zatkać uszy! Nie słyszeć, nie widzieć, nie myśleć! Jedenasty. To graniczy z obłędem! Każdy z tych strzałów godził nie tylko w pierś skazańca, przeszywał serca tych wszystkich, którzy tu stali z koszmarną świadomością, że co chwila ubywa jedno życie ludzkie. Dwunasty, trzynasty. Nie, to dwunasty dopiero. Dopiero o!! A może czternasty. Rachunek gubił się, myśli się płały, urywany szloch wydierał się z piersi. — „Alle, alle Polen“ — dodał Maks kiwając głową. I jeszcze, i jeszcze — kiedyż to się skończy- Trzydziestu czterech“... Tu cyfry nasze nie zgadzają się. Która z nich jest prawdziwa?

ROZSTANIE

Pamiętasz:

w lutym był mróz i padał śnieg,
mówiliśmy skuleni przy murku —
gdyby był lipiec..

Jest lipiec i mówimy sobie:

mrozi nas, mrozi,
ach, jak nam było
ciepło w lutym.

(„Cudzy pokój“)

JIRZYNA HAUKOVA

* * *

Dzień już odszedł. Jakby składał
drogocenną szatę.
Z absolutnej woni padał
wieczór między kwiaty.

W dzień nie było rzeczywiście,
bowiem w poprzek wzroku
stał horyzont — wtedy liście
toną do obłoków.

Lecz ten wieczór! — Mrok, co budzi
w rzeczach ich oblicze!
Kiedy człowiek pośród ludzi
sam jest! — pod Księżycem...

Gdy jest ścisła perspektywa,
wielki chłód wewnętrzny,
kiedy rzeczywistość żywa,
w którą się wpatrzymy, męczy.

W dzień — to mogłem ją całować
i powietrza nie czuć,
Nieistotny — chylić głowę
do ust — bez złych przeczuć,

Lecz z Księżycem! — Jakbym stanął
u strzelnicy z działem!
Słyszę — to dwa serca wałą! —
Wtedy pokochałem!

(„Zwarte obłoki“)

IVO FLEISCHMANN

W TRZECH BARWACH

Biała biała biała kraina —
Z białych dworków białe wybiegają konie
Biały kościółek wieżyczkę odpina
która gdzieś w białym niebie tonie

A nad pejzażem strzepy wron
z krzykiem zrywają się widma czarne
jak gdyby roznosiły w swym gardle
czarną ziemię do wszystkich stron

Pod wieczór jednak — ziemia ścicha już
cud bowiem u nóg jej leży
Białe konie z dworkami wronami i wieżą
w purpurze zórz — —

(„Mała Kalwaria“)

MIŁOSZ VACZIK

O POLSKO-CZESKĄ WSPÓŁPRACĘ KULTURALNĄ *)

W swych początkach literatura polska, o ile idzie o jej język, wystawiona była na niebezpieczeństwo ze strony literatury niemieckiej, a prócz tego musiała walczyć z międzynarodową łaciną. Jako jeden z przykładów spośród wielu przytoczam tylko Psalterz Floriański, który zawiera obok siebie tekst polski, niemiecki i łaciński. Wówczas język czeski był pożądaną bronią przeciwko tym wpływom; wnikał on obfitymi strumieniami do polskiego piśmiennictwa. Nie ograniczało się to do wpływów językowych. Także pod względem literackim czeskie wzory różnego rodzaju oddziaływały swą treścią i formą na polską twórczość literacką. Na ogół powiedzieć można zgodnie ze znakomitym sławistą rosyjskim, że „rozwinęta kultura językowa czeskiego gotyku, zaszczerpięta literackiej polszczyźnie, pobudziła jej rozwój i spłynęła z nią już w twórczości Mikołaja Reja w organiczną całość. Podczas gdy w Czechach ścisła poezja gotycka zanikła, a ówczesne stosunki kulturalno-polityczne nie pozwoliły, by na jej miejsce wytworzyć coś równoważnościowego, polskie utwory zdumiewająco szybko w społecznych warunkach znacznie korzystniejszych znalazły swój szczyt w arcydziełach Jana Kochanowskiego. Faktycznym ciągiem dalszym niejako literackiej sztuki czeskiego gotyku jest właśnie wspaniała polska poezja renesansowa. A w miarę, jak potężniejsza literatura polska, zaczyna się u schyłku XVI wieku odwrotnie oddziaływanie polskiej książki na Czechów”. Tyle znawca rosyjski.

Oczywiście, że nie ograniczało się to do tego odwrotnego przenikania książki polskiej do Czech. Wskutek rozwoju politycznych stosunków, nastąpił w XVII wieku upadek wszelkiego życia narodowego w Czechach. Literatura czeska i w ogóle całe życie umysłowe tylko wegetowało, podczas gdy najznakomitszy duch czeski, Jan Amos Komensky, mógł działać jedynie na wygnaniu, przez pewien czas także w Polsce, dokąd w ogóle schroniła się część czeskich wygnańców, członków Jedności Brackiej.

Kiedy następnie w związku z odrodzeniem europejskiej społeczności pod koniec XVIII wieku doszło do renesansu narodu czeskiego i jego kultury, także literatura polska, między innymi czynnikami, przysłała nam z pomocą. W sensie znanego hasła Kollára o słowiańskiej wzajemności na przestrzeni całego XIX wieku uważnie śledzony był rozwój polskiej literatury w ogóle i nie będzie żadną przesadą, jeśli powiem, iż bodaj nigdzie polska twórczość literacka nie odbiła się tak głośnym echem, jak właśnie w Czechach.

Oba narody przez całe wieki walczyły o wolność, a wysuniętą forpocztą w tej walce była zawsze literatura. Z żywym zainteresowaniem śledziliśmy pracę polskich poetów i pisarzy i staraliśmy się poznać ją najdokładniej. Zainteresowanie to nie zmalało ani wówczas, kiedy przed niemal 30 laty znowu zmart-

wychwstała Rzeczpospolita Polska i nasze państwo. Zainteresowanie to nie zmalało dlatego, że przeczuwaliśmy, iż walka nie jest jeszcze skończona, że idea demokratyczna jeszcze nie zwyciężyła zupełnie i na zawsze.

Wiemy, jak naród polski cierpiał podczas wojny, wiemy jakie poniósł straty, wiemy także, przed jakimi stoi zadaniami, tym bardziej, że przed podobnymi zadaniami stoimy i my. Zmiana struktury narodowej, jaką obecnie naród polski przeżywa, znowu go do nas zbliżyła, a dla pracowników ducha, przede wszystkim zaś dla pisarzy i poetów, którzy są awangardą dalszego postępu i protagonistami budowy nowej rzeczywistości, jest to szczególnie ważne. Wierzymy wszyscy, że „jednością silni, rozumni szaleńcy” we wspólnej i zwartej woli będziemy w stanie spełnić piękne słowa Adama Mickiewicza:

Dalej, bryło, z posad świata,
Nowymi cię pchniemy tory.

FRANCISZEK HALAS

Artykuł napisany specjalnie dla „Kamień”.

NOTY BIO-BIBLIOGRAFICZNE

CZAPEK KAREL (1890—1938) jeden z największych prozaików i dramaturgów czeskich znany w Polsce dzięki przekładom P. Hulki-Laskowskiego. Tłumaczony na 26 języków, grywany na całym świecie. Najważniejsze pozycje powieściowe: „Fabryka absolutu” (1922), „Krakatit” (1924), trylogia „Hordubal” (1933), „Meteor” (1934), „Życie zwyczajne” (1934). Najważniejsze sztuki: „R. U. R.” (1920 — nagr. państw.), „Z życia owadu” (1921 — nagr. państw.), „Adam Stwórca” (1927 — nagr. państw.). Interesujące i dowcipne „Kartki włoskie” (1923), „Kartki angielskie” (1924) i in. wrażenia z podróży.

DYK VICTOR (1877—1931), dziennikarz, polityk, powieściopisarz, nowelista, poeta i dramaturg. Spóźniony romantyk, związany początkowo z „Moderni Revue” („sztuka dla sztuki”), bezlitosny ironista, w późniejszej swej twórczości stał się fanatykiem i heroldem niepodległości czeskiej, głoszącym zasadę służby poezji dla dobra narodu. Najważniejszą pozycją w jego dorobku poetyckim stanowi tetralogia: „Lekkie i ciężkie kroki” (1915), „Albo” (1918), „Okno” (1921 — powstałe w więzieniu; tu napisał Dyk słynną apostrofę „Ziemia mówi”) i „Rok ostatni” (1922 — nagroda państwowa). Z twórczości dramatycznej najlepsza sztuka o don Kichocie. Z prozy powieściowej i nowelistycznej — „Szczerołap”, z którego zamieszczamy w „Kamieniu” rozdział pierwszy.

FLEISCHMANN IVO, poeta. Zbiorek „Zwarte obłoki” (1946).

HALAS FRANTISEK (ur. w r. 1901), redakt. wyd. w Pradze, obecny prezes syndykatu literatów czeskich i naczelnik departamentu prasowego w ministerstwie. Genialny samouk. Poeta—nowator o namilnym kulcie słowa. W pierwszym okresie twórczości — tematyka miłosna, melancholia, częsty motyw śmierci. W dobie przełomowej Czech staje się poetą zbiorowości, wyrazem wiary w siłę narodu i odrodzenia ojczyzny. Najważniejsze pozycje bibliograficzne: „Twarz” (1931 — nagroda państwowa), „Stare kobiety” (1935), „Na rościę” (1936, nagroda wyd. Melantrich, II wyd. 1946), „Strojenie” (II wyd. 1947), „Nasza pani Bożena Niemcowa” — hold patronce mowy czeskiej (1946), „Zarys na-

dzieci" (1938 — II wyd. 1945). Halas tłumaczy arcydzieła poezji polskiej („Grażyna“, „Konrad Wallenrod“, „Dziady“, „Balladyna“; „Lilla Wedneda“). W r. b. otrzymał za swą pracę odznaczenie od Rządu polskiego.

HAUKOVA JIRINA, poetka najmłodszego pokolenia, tłumaczka poezji angielskiej. Współpracuje z „Listami“ J. Chalupckiego. Zbiorek „Cudzy pokój“ (1946)

HOLAN VLADIMIR (ur. w r. 1905), poeta i tłumacz (Rilke, Lermontow). Kroczy samotnie we współczesnej poezji czeskiej. W poszukiwaniu ekspresji deformuje nieraz język, co prowadzi go czasem do niezrozumiałości. Walczy z melodyjnością wiersza na rzecz obrazowości własnej. Najważniejsze pozycje bibliograficzne: „Triumf śmierci“ (1930 i 1940), „Łuk“ (1934), „Wrzesień“ (1938), „Pierwszy testament“ (1940).

HORA JOSEF (1891 — 1945), redaktor, poeta, prozaik, tłumacz (poezji rosyjskiej — klasycznej: Puszkina, Lermontowa i współczesnej: Jesienina, Pasternaka). Jeden z przywódców duchowych poezji międzywojennej i jeden z czołowych przedstawicieli generacji Czech odrodzonych; po śmierci uczczony tytułem artysty narodowego Czechosłowacji. Niestrudzony bojownik o sprawiedliwość społeczną, autor licznych wierszy o tematyce socjalnej i rewolucyjnej. W późniejszym okresie twórczości przechodzi do zagadnień ogólnoludzkich, a w dobie niewoli czeskiej — narodowych. Dorobek twórczy niezmiernie bogaty. Ważniejsze pozycje: „Dzień pracujący“ (1920), „Italia“ (1925), „Struny na wietrze“ (1927), „Dziesięć lat“ (1929 — nagr. państwowa), „Ojczyzna“ (1938), „Skrzypek Jan“ (1939).

HRUBIN FRANTISEK (ur. w r. 1910). Poeta i tłumacz (m. in. „Sakuntali“ Kalidasa) o dużej kulturze wiersza i bogatej skali doznań. Miłość ziemi rodzinnej, Pragi, ogniska domowego i wydziedziczonych. Ważniejsze pozycje bibliograficzne: „Ziemia — bogini lasu“ (1941 — nagr. państwowa), „Chleb ze stali“ (1945).

NECHVATAL FRANTISEK (ur. w r. 1905), poeta niezmiernie obrazowy, o dużej fantazji i silnym poczuciu krzywdy społecznej. Dorobek literacki bogaty. Ważniejsze pozycje: „Ogień i miecz“ (1934), „Żelazna krata“ (1937 — II wyd. 1946), „Góra magnetyczna“ (motywy miłosne, 1937), „Sztandar macierzyński“ (umiłowanie ziemi morawskiej — 1939), „Łoże weselne“ (1946), „Niewola babilońska“ (1946). Nechvatal jest również tłumaczem poezji hiszpańskiej.

NEZVAL VITEZSLAV (ur. w r. 1900), poeta, prozaik, dramaturg. Liryk najczystszej krwi o nieokiełzanej fantazji, przekreślający granicę między snem i rzeczywistością, alchemik słowa, sam określił swą „szkołę“ jako poetyzm. Później zbliżył się do surrealizmu Bretona i Eluarda; w okresie powojennym nawrócił do prostoty („Obraz historyczny“). Dorobek twórczy ogromny. Ważniejsze poezje: „Most“ (1922 — debiut), „Wiersze nocy“ (wśród których znajduje się poemat „Edison — hymn na cześć człowieka-czarodzieja uszczęśliwiającego ludzkość — 1930), „Żegnaj i chusteczka“ (1934 — nagroda państwowa), sztuka „Mannon Lescaut“ (1940). Tłumacz poezji francuskiej — Rimbaud, Mallarmé, Apollinaire.

PILARZ JAN (ur. 1917), poeta młodszej generacji. Początkowo ruralista (częste motywy wiejskie) o żywym odczuciu piękna przyrody. Nieraz występuje u niego tęsknota człowieka oderwanego od korzeni ojczystych i przeszczeplonego na bruk wielkiego miasta. Pod wpływem tragicznych przeżyć narodu tematyka się rozszerza i pogłębia. Poeta zbliża się więcej do człowieka. Ważniejsze zbiorki: „Sad jabłoni“ (1939), „Skarga Orfeusza“ (1940), „Dom bez okien“ (1942), „Kajdany“ (1946), „Pochodnia“ (1947 — antologia przekładów z współczesnej poezji polskiej).

SCHEINPFLUGOVA OLGA (ur. w r. 1902), córka znanego pisarza i wdowa po Karolu Czapku, poetka, powieściopisarka, komediopisarka i artystka dramatyczna. Subtelna jej liryka kobieca opiera się przede wszystkim na przeżyciu. Smutna erotyka, zaduma nad przemijaniem życia, niepokój doby, cierpienia osobiste (śmierć męża — „Skarga“ 1939) i narodowe („Tunel śmierci“ 1945).

SEIFERT JAROSLAV (ur. w r. 1901). Poeta i tłumacz. Redaktor mies. lit. „Kytice“. Wyszedł ze szkoły Apollinaire'a. W pierwszych zbior-
kach poeta społeczny i rewolucyjny, piewca techniki współczesnej i egzo-
tyzmu. W następnych zbiorach Seifert wnika bardziej w siebie, odczu-
wa samotność, tęsknotę za upływającą młodością („Jabłko z łona“ 1933),
w późniejszych („Ręce Venus“ — 1936, nagr. państwowa) osiąga spokój,
staje się poetą poznania i mądrości życiowej. Śmierć prezydenta Masa-
ryka („Ośm dni“ 1937) i losy ojczyzny kierują go na drogę narodową
(„Wachlarz Bożeny Niemcowej“ 1940). Ostatnie zbiorki („W światło odzia-
na“ — wiersze o Pradze — 1940 i „Most kamienny“ 1944) dzięki pięknu
języka, pastelowości obrazów i głębi uczucia patriotycznego stawiają
go obok Halasa, Holana, Nezvala i Zavady jako jednego z czołowych
poetów średniej generacji.

STRNADEL JOSEF, prozaik, b. więzień obozów koncentracyjnych,
współpracownik mies. liter. „Kytice“.

SZRAHEK FRANIA (ur. w r. 1877), poeta starszej generacji, no-
welista, powieściopisarz i dramaturg. Wyszedł z koła „Nowego kultu“.
Zrazu indywidualista i anarchista, piewca smutku proletariackiego, me-
lancholii, włóczęgi, młodości, wiosny, zmysłowej miłości i pogańskiej
rozkoszy życia. W późniejszym okresie twórczości wyzbywa się postawy
anarchistycznej; odtąd w jego wierszach pobrzmiewa miłość do ludzi,
do rodzinnego kraju, poczucie wspólnoty z ojczyzną i wiara w jej przy-
szłość. Najważniejsze pozycje poetyckie: „Nędzo życia, czemu cię ko-
cham“ (1905), „Upust“ (1916), „Poezje“ (1926), „Nowe poezje“ (1933);
„Jeszcze brzmi“ (1933).

TOMAN KAREL (właściwie Antoni Bernaszek, 1877—1946). Jeden
z największych poetów czeskich dwudziestego wieku. Przeszedł drogę
od indywidualizmu do zlania się ze społeczeństwem, z narodem. Cechuje
go umiłowanie życia we wszystkich jego przejawach i głębokie współ-
czucie dla krzywdy społecznej. Dorobek twórczy poety jest ilościowo ra-
czej ubogi, ale o poważnym ciężarze gatunkowym: „Baśnie krwi“ (1898),
„Zarys życia“ (1902), „Droga melancholijna“ (1906), „Godziny słonecz-
ne“ (1913), „Poezje“ (1918), „Miesiące“ (1918), „Głos ciszy“ (1923);
„Kalendarz stuletni“ (1926, nagroda państw.).

VACIK MIŁOSZ, poeta młodej generacji. „Sonety“ (1947), „Mała
kalwaria“ (1947).

WEIL JIRZY (ur. w r. 1900), dziennikarz, prozaik, tłumacz współcz.
poezji rosyjskiej. Powieści: „Moskwa — granica“ (1937), „Drewniana
łyżka“. Nowele: „Barwy“ (1946).

WOLKER JIRZY (1900—1924). Jeden z największych poetów czes-
kich dwudziestego wieku, przedwczesnie zmarły na gruźlicę. Pisarz
o wysokiej postawie etycznej płynącej ze źródła chrześcijańskiego i socja-
listycznego. Cechuje go niezwykła wrażliwość na nędzę ludzką i cier-
pienie człowieka, umiłowanie ziemi, natury, nawet martwych przedmio-
tów. Towarzyszy temu wiara w nadejście nowej epoki miłości wszech-
ludzkiej, w odrodzenie świata. Poezje: „Gość w dom“ (1921), „Ciężka
godzina“ (1923). Dramaty: „Trzy sztuki“ (1924). Po śmierci wyd. „Opo-
wiadania i baśnie“ (1925). Trzytomowe zbiorowe wydania dzieł poety
(„Dilo J. Wolkra“) doczekało się aż dziewięciu wydań.

ZAVADA VILEM (ur. w r. 1905), poeta wnoszący do poezji czes-
kiej żywioł tragiczny, niepokój i rozdarcie duszy, posępne zamyślenie
i pierwiastek wizjonerski. Z czasem wyzwala się z pesymizmu na rzecz
wiary w wartości człowieka. Z życiem godzi go umiłowanie natury, zie-
mi ojczystej (zwłaszcza „czarnej“ ziemi ostrawskiej) i poczucie łączności
z narodem. Język jego często szorstki, niemelodyjny świadczy o ciągłym
wysiłku poety nad znalezieniem właściwego własnego wyrazu. Piszę na
ogół niewiele. W ciągu 20 lat wydał pięć zbiorów: „Panichida“ (1927),
„Syrena“ (1932), „Droga pieszo“ (1937), „Wieża zamkowa“ (1940);
„Zmartwychwstanie“ (1946). Tłumaczy poetów jugosłowiańskich.

(Oparte na „Słowniku współczesnych pisarzy czeskich“ Jar. Kunca).

POLONICA CZESKIE

Nakładem Melantricha ukazały się ostatnio w mistrzowskim przekładzie Franciszka Halasa „Dziady“ (całość), „Grażyna“ i „Konrad Wallenrod“ Mickiewicza. Halas przełożył również „Lillę Wenedę“ i „Balladynę“ Słowackiego. Ostatni utwór ma być wystawiony w jednym z teatrów praskich.

*

Nakładem Jana Pohorzelego w Pradze ukazał się w przepięknej szacie graficznej z drzeworytami Fr. Koblíha doskonały przekład „Anhellego“ Słowackiego. Poemat przetłumaczył i zaopatrzył wstępem oraz uwagami Josef Matousz.

*

Obok Halasa niestrudżonym tłumaczem poezji polskiej (ale współczesnej) jest Jan Pilarz. Przed rokiem ukazała się jego antologia „Pochodnia“. Obecnie pracuje nad wyborem wierszy J. Tuwima i K. I. Gałczyńskiego oraz przekłada wiersze dla dzieci J. Brzechwy. Na mniejszą skalę udostępniają czytelnikowi czeskiemu poezję polską O. F. Babler, A. Gajdosz, J. Suchy, J. Zahradniczek (grudniowy nr berneńskiego „Akordu“), A. Hofmeister, J. Rumler, I. Skala, E. Sojka i J. Zavada (zeszłoroczny marcowy zeszyt mies. „Kytice“). Jarosław Parma ukończył przekład „Lauru olimpijskiego“ K. Wierzyńskiego. Tłumaczy też współczesnych poetów polskich (zwłaszcza Słonimskiego) D. Gawrecki.

*

Prozę polską przyswaja językowi czeskiemu przede wszystkim Helena Teigova. O ogromie dokonanej przez nią na tym polu pracy zaświadczy najlepiej rejestr przełożonych przez nią i wydanych utworów: Gojawiczyńska „Dziewczęta z Nowolipek“, Kunecwiczowa „Cudzoziemka“ (obie powieści przetłumaczone przed wojną), Szmaglewska „Dymy nad Birkenau“, (I wyd. 20.000 egz.(!), II — 10.000 egz.), Andrzejewski: „Noc“ (8.000 egz. — książka, która spotkała się z najlepszym przyjęciem krytyki), Kruczkowski „Kordian i chałm“, Gojawiczyńska „Krata“ i „Rajska jabłoń“, Brandys „Miasto niepokonane“, Żukrowski „W krainie milczenia“, Szajnocha „Szkiecy historyczne“ (dla Biblioteki Słowiańskich Autorów Klasycznych), Prus „Placówka“ (dla tejże Biblioteki). Teigova ukończyła obecnie przekład „20 lat życia“ Uniółowskiego i pracuje nad antologią noweli polskich. Ma zamiar przetłumaczyć „Lalkę“ Prusa, „Płomienie“ Brzozowskiego i trylogię historyczną Gólbiewa.

*

W Bibliotece Słowiańskich Autorów Klasycznych (wyd. Stejskala) pod patronatem Instytutu Słowiańskiego ukazała się „Stara baśń“ Kraszewskiego w przekładzie dr Beczki. Z innych tłumaczy prozy polskiej wymienić należy Minarżikową („Wędrowki Joanny“ Szelburg-Zarembiny i „Granicza“ Nalkowskiej), Galasową i A. Hezczkową („Jeziro Bodeńskie“ Dygata i „Czas nieludzki“ Otwinowskiego).

Zeszyt niniejszy ze względu na jego szczupłość może dać tylko przybliżone pojęcie o współczesnej poezji czeskiej. Brak wielu wybitnych pisarzy jak Czarka, Szaldy, Fischera, Neumanna i in. Nie figurują w nim też utwory poetów berneńskich: Habrziny, Zatloukala, Zahradniczka i in. Tłumacz pracuje nad antologią współczesnej poezji czeskiej, gdzie, oczywiście, znajdują się wszyscy wybitni poeci.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Wydawnictwo „Wiedza“

Pola Gojawiczyńska: Życie Elżbiety, 1947. Anatol Winogradow: Potępienie Paganiniego, 1947. Rudyard Kipling: Księga dżungli, 1947. Emil Zola: Germinal t. I i II, 1947. Balzac: Historia wiekości i upadku Cezara Birotteau, 1947. Charles Kingsley: Na podbój świata, 1947. Jerzy Piórkowski: Niepodlegli, 1947. Wolter: Kandyd, 1947. Andrzej Strug: Ludzie podziemni, 1947. Wanda Melcer: Wyspa szczęścia, 1947. Karin Michaëlis: Dzieci z Nyhavn, 1947. Gustawa Jarecka: Ludzie i sztandary t. I Ojcowie, t. II Zwycięskie pokolenie, 1947. Halina Górską: O księciu Gotfrydzie rycerzu gwiazdy wigilijnej, 1948. Karolina Beylin: My sami! 1948. Rudyard Kipling: Kim, 1948. A. A. Milne: Chatka Puchatka, 1948. Eliza Orzeszkowa: Meir Ezofowicz, t. I i II, 1947.

Ewa Szelburg-Zarembina: Nasi braciszkwowie, 1947. Mieczysława Zawadka: Stefan Okrzeja, 1947. Adam Próchnik—człowiek—myśliciel—polityk, 1947. D. Gayówna: Dobroczyńca ludzkości Ludwik Pasteur, B-czka popul.—nauk. „Wiedzy“ 1947. Zofia Bohuszewicz: Jean-Henri Fabre, B-czka popul.-nauk. „Wiedzy“, 1947. Jan Sokołowski: Orzeł król ptaków, B-czka popul.-nauk. „Wiedzy“, 1947. D. Goyówna: Sosna, B-czka popul.-nauk. „Wiedzy“, 1947. M. Faraday: Dzieje świecy, B-czka popul.-nauk. „Wiedzy“, 1947. B. Dyakowski: Badacz dalekiej północy, B-czka popul.-nauk. „Wiedzy“, 1947. M. Grotowski: Faraday, B-czka popul.-nauk. „Wiedzy“, 1948.

Jerzy Broszkiewicz: Oczekiwanie, 1948. Adam Próchnik: Kobieta w polskim ruchu socjalistycznym, 1948. Zofia Petersowa: Liczyrzepa, 1948. E. Słobodnikowa: Bajki uzbeckie i tadżyckie, 1948.

Wyd. „Literatura Polska“ Katowice

J. Hen: Kijów—Taszkent—Berlin, 1947.

Zakł. Wyd. B. Matuszewski, Warszawa

Józef Nikodem Kłosowski: Mgła, 1948.

Wyd. Ekspresu Wieczornego

W. Kisielewski: Dywizja Lancaster, 1947. Jerzy Seweryn: Kierunek na Elżbietkę, 1947.

Wyd. J. Przeworskiego

Fannie Hurst: Imitacja życia, 1947. Gny de Pourtalès: Życie Liszta, 1948.

Wyd. „Syrena“, Warszawa

Oliver Goldsmith: Pleban z Wakefieldu, 1947. Nathaniel Hawthorne: Szkarłatna litera, 1947. Józef Ignacy Kraszewski: Historia prawdziwa o Petruku Właście, Palatynie, którego zwano Duninem t. I i II, 1947. Janina Porazińska: Borówka, 1947. Remigiusz Kwiatkowski: Parasol noś i przy pogodzie, 1948.

KSIAŻKI NADESŁANE OSTATNIO

Wyd. „Wiedza“

Rudyard Kipling: Puk z Pukowej Górki, 1948. Balzac: Kuzyńka Bietka t. I i II, 1948. Bruno Frank: Cervantes, 1948. John Hersey: Hiroszima, 1948. Victor Hugo. Rok 1793, 1948. Jan Huszcza. Miasteczko nad Olszanką, 1948. Adolf Dygasiński: Gody życia, 1948. Alain Fournier: Mój przyjaciel Meaulnes, 1948. Benvenuto Cellini: Żywot własny, 1948. Jadwiga Gorzycka: Stanisław Kunicki, 1948. Marian Podkowiński: IV-ta Rzesza rośnie, 1948.

Inne wydawnictwa

Antoni Olcha: Zwierciadła — wiersze, Warszawa, 1948. Bibl. Oddz. Wiejsk. Z.Z.L.P. P. L. Travers: Agnieszka, J. Przeworski Warszawa, 1948.

ces. 2552/9/1-3

KSEROWIELANIE

ZABRONIONE